

FRANTIŠEK VALDŠTÝN

PROBLEMATYKA WOJENNA ROKU 1620

Czasy nowożytnie zaczynają się u schyłku renesansu. Przejawiało się to nie tylko w sferze życia duchowego, sztuki, rozwijających się dziedzin nauki, ale również w wydarzeniach politycznych, wojskowych nie pomijając.

W atmosferze napięć w środkowej Europie końca XVI i początku XVII w., pomniejszych wojnach lokalnych, bez względu na wciąż trwające zagrożenie tureckie, zaczęło się zanosić na konflikt o ogromnych rozmiarach – na wojnę trzydziestoletnią trwającą w latach 1618 – 1648. Była ona pierwszym koalicyjnym i ogólnokontynentalnym konfliktem zupełnie nowego typu. Od niej rozpoczął się cały szereg wojen w Europie toczących się aż do naszych czasów. Szlachetne hasła wyszyte na wojennych sztandarach, ideały głoszone przez duchownych i polityków obu przeciwstawnych ugrupowań wojskowo-politycznych pozostawały w ostrej sprzeczności z prawdziwymi zamiarami i codzienną praktyką walczących armii.

Wojna 30-letnia jako pierwsza wojna nowożytnych czasów była właściwie już wojną „światową”, przynajmniej zachodnio-europejskiego kontynentu. Trwała niezwykle długo i prawdopodobnie także i z tego powodu była niezwykle wyczerpująca. Poza politycznymi i dyplomatycznymi umiejętnościami przetrwania krajów i całych koalicji, wojna ta także zweryfikowała sprawność ich armii – stan, rezerwy, wyposażenie bojowe, taktykę, strategię, zaplecze wraz ze zdolnością do reorganizacji i umiejętnością dostosowania się do różnych okoliczności. Oprócz finansów na pierwszoplanowe miejsce wysunęły się w nowożytnym tego słowa znaczeniu inne ekonomiczne aspekty z zabezpieczeniem produkcji zbrojeniowej i produkcji żywności włącznie. W starym stylu nie można już było walczyć. Przejawiało się to szczególnie w przypadku często stosowanej strategii zmęczenia przeciwnika, jak też na tyłach poprzez wciąganie do działań wojennych ludności cywilnej.

Kompleks przyczyn, które doprowadziły do wybuchu konfliktu o tak dużym zasięgu i tak wyniszczającego (w przeciągu lat 1618 – 1648 Morawy straciły trzecią część, natomiast Czechy prawie połowę ludności), wciąż jeszcze jest badany, jednak trzeba pamiętać, że bezpośrednie jego początki sięgają pokoju augsburskiego zawartego w 1555 r. z tą problematyczną zasadą: *cuius regio eius religio* (czyja władza tego religia).

Początkowym etapem wojny 30-letniej była tzw. wojna czeska (1618 – 1621), rozpoczęta przez powstanie stanów czeskich przeciw Habsburgom 23 maja 1618 r. W trakcie tej wojny zostało udowodnione, że wbrew początkowym sukcesom wojskowym, wbrew późniejszemu przyłączeniu się reszty ziem korony czeskiej i stanów Górnej i Dolnej Austrii do powstania, wbrew wsparciu wojsk siedmiogrodzkich księcia Bethlena Gabora, pozostały stany czeskie w ramach ogólnoeuropejskiej antyhabsburskiej polityki praktycznie w izolacji. W czasie gdy koalicja habsbursko-hiszpańska oparta o lepszą dyplomację i posiadająca lepsze zabezpieczenie finansowe stopniowo się rozrastała, czeskie powstanie przechodziło do trwałej defensywy, aż w końcu 8 listopada 1620 r. w bitwie pod Białą Górą koło Pragi zostało stłumione. Opór reszty wojsk stanowych był jeszcze sporadycznie kontynuowany, włącznie z wojskowymi akcjami margrabiego Jana Jerzego Krnowskiego, jednak bez politycznego przywództwa praskiego Dyrektorium oraz bez tzw. zimowego króla Fryderyka, czeska wojna skończyła się zwycięstwem strony cesarskiej w 1621 r.

Jeden z jej epizodów łączący się m.in. z polsko-czeskimi stosunkami państwowymi, jak i z dynastycznymi powiązaniem naszych krajów, a równocześnie dotyczący tak dogłębnie na forum międzynarodowym roztrząsanego życiorysu Jana Sarkandra, to problem tzw. Lisowczyków.

W połowie 1619 r. wojska cesarza Ferdynanda II znajdowały się w trudnym położeniu. W czerwcu wojska stanowe po raz pierwszy okrążyły sam Wiedeń. 5 sierpnia płk. Tiefenbach z pułkami stanów morawskich pokonał wojska cesarskie koło Dolnich Westonic, a 226 sierpnia tego roku arcyks. Fryderyk został wybrany na czeskiego króla. W początkach jego władzy aktywność dyplomatyczna wzrosła na tyle, że oczekiwano w ciągu kilku tygodni połączenia wojsk stanowych z licznym wojskiem siedmiogrodzkiego Bethlena. To dałoby razem 40 tysięcy żołnierzy. W tej sytuacji Ferdynand II potrzebował natychmiastowego podniesienia stanu liczbowego swego wojska, które liczyło tylko 20 tysięcy żołnierzy (pod wodzą gen. Buquoya i płk. Dampiera). Zwrócił się więc w potrzebie do swego szwagra Zygmunta III Wazy, polskiego króla z żądaniem wysłania ekspedycji wojskowej. Była to delikatna sprawa, o charakterze dyplomatyczno-wojskowym, opierająca się raczej na osobistych życzeniach niż na realnych danych. Żądanie to było trudne do spełnienia. Zygmunt III Waza, małżonek cesarskiej siostry, był co prawda polskim królem, ale był królem elekcyjnym, który miał ograniczoną władzę i nie mógł sam decydować w tej sprawie bez zgody sejmu.

Szefem misji, która miała pełnomocnictwa do pertraktacji w Warszawie został mianowany gen. Michał Adolf z Althanu. Miał on przekonać króla, by stał się sprzymierzeńcem habsburskim. Niezależnie od nieco naiwnych wyobrażeń cesarza, dostał od rady wojennej całkiem realne żądania co do liczby, struktury i charakteru potrzebnych wojsk ekspedycyjnych oraz warunki i możliwości od generalnego wojennego komisariatu. Otrzymał też pewną kwotę

w gotówce na wypadek, gdyby nie powiodły się pertraktacje dyplomatyczne i musiał wprost werbować żołnierzy (do czego rzeczywiście w końcu doszło).

Żądana pomoc nie mogła być niewielka. Wiedeń potrzebował dużej ilości regularnego wojska, szczególnie ciężką jazdę zdolną do przeciwstawienia się jeździe kirasjerów, którymi dysponowały powstałe stany, jak też tercji piechoty, którymi można było stawić czoła powtarzającym się atakiem strzeleckim tzw. karakolą. Lekka jazda mogła być użyta tylko w mniejszym zakresie, było to możliwe tylko przeciw lekkiej jeździe węgierskiej.

Polska jednak nie posłała Habsburgom na pomoc swoich elitarnych „towarzyszy broni pancernej” – uskrzydłych husarów. Nie wysłała również innych potrzebnych wojsk. Chociaż król Zygmunt III polecał sejmowi uchwalić taką pomoc, sejm jednak tę propozycję odrzucił, gdyż mogłoby to naruszyć trwające już od XV wieku stosunki polsko-czeskie. Generał Althan osiągnął tylko zgodę króla na zaciąg ochotników do służby cesarskiej i to tylko w imieniu cesarza, i wyłącznie na jego koszt, a więc bez udziału polskiego króla, bez jakiegokolwiek udziału sejmu. W tym przypadku było to klasyczne werbowanie, w określonych warunkach i czasie, którego nie było zbyt wiele. Efektem całej misji był więc kompromis, którego nie było można nawet wykorzystać. Pozostało tylko rozwiązanie alternatywne, ale ono było rozwiązaniem ryzykownym i problematycznym – mianowicie wynajęcie Lisowczyków.

Określenie „Lisowczycy” odnosiło się do półwojskowej (z punktu widzenia profesjonalnego) formacji kozackiej, przeważnie narodowości polsko-ukraińskiej, którą sformował początkiem wieku – w większości z okolic prawobrzeżnego Dniepru – wojownik i kondotier A. Lisowski z przeznaczeniem do wojen przeciwko Rosji (w latach 1607 – 1612). Po zakończeniu operacji wojskowych i po śmierci Lisowskiego, żołnierze odrzucili propozycję rozwiązania oddziałów. Zwyczaj polegania coraz bardziej na łupach wojennych, na rabowaniu lub wręcz na grabieży, uczynił ich z czasem natarczywymi szkodnikami na ziemiach Korony Polskiej. Zostali nimi ogłoszeni oficjalnie przez polski sejm w 1624 r., z jednoczesnym żądaniem ich rozwiązania.

Jesienią 1619 r. jeszcze w pełnej sile i chęci do awantur i przygód wojennych, przebywali pod Krakowem. Tam do Miechowa przyjechał pertraktować z nimi gen. Althan. Lisowczycy nie byli nigdy dostatecznie uzbrojeni, jeśli spojrzymy na to z punktu widzenia ówczesnej armii. Na ich wyszkolenie i nowe uzbrojenie nie było nigdy czasu i pieniędzy. Tworzyli lekka jazdę uzbrojoną oprócz tradycyjnej szabli w kopię, kuszę i sporadycznie w ręczną broń palną. Właśnie niedostatek broni palnej był ich słabą stroną, nie mógł być zastąpiony nawet przez oryginalną technikę walki na kozacko-tatarski sposób. Nie byli oni zdolni do ataku karakolowego (strzeleckiego), nie mogli w sposób decydujący rozstrzygnąć o przebiegu generalnej bitwy. Jak się okazało, o zwycięstwie w bitwie pod Białą Górą rozstrzygnęli kirasjerzy hiszpańscy gen. Buquoya oraz piechota gen. Tillego, a nie Lisowczycy, którzy też brali w niej udział.

Zwerbowanie Lisowczyków dla wzmocnienia wojsk cesarskich było więc rozwiązaniem przymusowym, o czym musiał gen. Althan stale pamiętać, ze względu na pieniądze, które wydał. Musiał też brać pod uwagę proporcjonalną liczbę zaciągu (duża ilość wojska nie musiała mieć nic wspólnego z jakością wynajętych żołnierzy). Problemów było sporo. Werbowanie Lisowczyków w Miechowie odbywało się przy jednoczesnych protestach sejmiku ziemi krakowskiej. Szkolenie dowódców niezdyscyplinowanych Kozaków na czele z Kleczowskim

musiało nie być trudne, skoro już jesienią 1619 r. byli zdolni wystąpić do Górnych Węgier przeciw Bethlenowi Gaborowi swe oddziały, a 3 lutego 1620 r. nastąpił ich wymarsz z Bochni szybkim pięciodniowym przeskokiem przez Morawy w kierunku Wiednia. Ich trasa, jak się wydaje, była bardzo szczegółowo wytyczona, nawet ze szczegółowym dopełnieniem miejscowych informacji.

Wyruszyli w sile około 4 tysięcy jeźdźców, co by u regularnego wojska odpowiadało sile pięciu ówczesnych pułków jazdy. Jak już wyżej powiedziano, o wyniku czeskiej wojny nie mogli właściwie zdecydować. Ferdynandowi II posłużyli raczej w następnych kampaniach, zwłaszcza w 1621 r. przeciwko Turkom. Na polskich ziemiach mieszkańcy ich odejście przyjmowali z ulgą. Na Morawach po drodze grabili, mordowali i palili w sposób bezprzykładny, co było jakby zapowiedzią wzrastających gwałtów wojsk w przyszłych wojnach. Jedną z przyczyn tego niezwykłego wojennego okrucieństwa musiał być głęboko odczuwany kompleks mniejszości wobec uznawanych wojsk polskich oraz świadomość, że w Polsce nikt o nich nie dba.

Przybliżenie tego epizodu najmu Lisowczyków chociaż w zarysach ma swe uzasadnienie dla pokazania złożonych stosunków w czasach wojny czeskiej. Jak wynika z przedstawionego powyżej wywodu, działanie misji gen. Althana w Warszawie, a następnie werbowanie Lisowczyków było zadaniem bardzo skomplikowanym i trudnym. Poselstwo cesarskie musiało postępować w czasie wszystkich pertraktacji oraz w następnych rozmowach zgodnie z wytycznymi wiedeńskiej rady wojennego komisariatu, mając jednocześnie pełną świadomość istnienia szeroko rozwiniętej aktywności dyplomatycznej przy równoczesnym trwaniu operacji wojskowych. Jest więc oczywiste, że było to zadanie szczególnie trudne i skomplikowane. Jest nie do pomyślenia, aby w tym działaniu mógł uczestniczyć człowiek nie przygotowany. Łączyć to działanie z proboszczem holeszowskim ks. Janem Sarkandrem, który pielgrzymował zbiegiem okoliczności w tym samym czasie na Jasną Górę na rekolekcje, jest nie tylko absurdalne, ale wręcz żenujące. Osamotniony cywil, któremu brakowało znajomości tej złożonej sytuacji politycznej (jak potwierdza analiza jego życiorysu), bez doświadczenia, jak i bez potrzebnych finansów. Absurdalność tego oskarżenia, że „zaprosił” Lisowczyków, uświadamiali sobie niewątpliwie i jego sędziowie przy trzecim i czwartym przesłuchaniu w dniach 17 i 18 lutego, ponieważ przeszli do innych, chociaż równie absurdalnych pytań.

Jeżeli więc jeszcze dziś zwraca ktoś uwagę w powiązaniu z Janem Sarkandrem na podejrzenie go o uczestnictwo w sprowadzeniu Lisowczyków na Morawy, czyni to wbrew znajomości ówczesnej rzeczywistości.

Major inż. František Valdštýn z Pragi wygłosił ten wykład 1 V 1995 r. w Skoczowie, w trakcie Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej – Dnia Sarkandrowskiego. Opublikowany został w Kalendarzu Skoczowskim 2006, s. 62 - 65.

LISOWCZYCY

W oficjalnej „Historii Śląska” zapisano: „Lisowczycy największych wykroczeń dopuścili się na Śląsku Cieszyńskim pustosząc miasta Strumień i Skoczów, należące do katolickiego księcia i zamieszkałe przez ludność polską.”

W rzeczywistości miasteczka te ocalały. Nie wszędzie, gdzie stanęła stopa najeźdźców musiało dojść do tragedii. Na pozór mogłyby stanowić łatwy łup dla napastników. Były w początkach XVII w. miastami otwartymi, pozbawionymi wałów, murów i bram wjazdowych. W lepszej sytuacji znajdował się Skoczów, otoczony parkanem, z twierdzą – zamkiem obronnym, zabezpieczającym dojsię do miasta. Otoczony fosą zamek mógł też służyć w razie niebezpieczeństwa jako schronienie dla skoczowskich mieszczan.

Strumień pozbawiony był wszelkiego rodzaju fortyfikacji. Poza tym mieszkańcy obu miast uzbrojeni byli w muszkiety, a umiejętność posługiwania się bronią palną obowiązywała każdego członka rzemieślniczego cechu. Nie brakło też ochoty i odwagi, by w krytycznej sytuacji stanąć w obronie swej rodziny i własności.

Sytuacja, jaką zastali lisowczycy skłoniła ich do pozostawienia obu miast w spokoju i szukania łatwiejszych możliwości zdobycia łupów. Taka wersję wydarzeń potwierdzają też zachowane do naszych czasów kronikarskie zapisy wiarygodnych ludzi, którzy w 1620 r. byli na miejscu i na własnej skórze odczuli skutki przejazdu lisowczyków.

Jan Tilgner, szlachcic, burgrabia skoczowsko-strumieński, właściciel folwarku i dworku zw. Świderkowskim oraz domu w Strumieniu w swoim „Dzienniku” opisał też najazd lisowczyków.

„Roku 1620, dnia 4 lutego doszło do nagłego i niespodziewanego napadu Polaków na Śląsk. Kozacy Lisowskiego, których było ponad 3 tysiące, w ciągu jednego dnia i jednej nocy przebyli 14 mil. Droga z Krakowa do Pszczyny i Ostrawy znaczone była wielkimi rabunkami, mordem, splądrowano ponad pięćdziesiąt dworów szlacheckich.

Byli także w Strumieniu, koło naszego folwarku „pod Borkiem”. Trzech z nich wysłanych na zwiady do miasta, już doszli do stajni Szprencla, lecz kiedy całe miasteczko stanęło na rynku, ze swoimi muszkietami, w bojowej gotowości, uciekali do swoich. Mieszczanie ścigali ich aż do nowego folwarku, odbili trzy konie, przyprowadzili jednego kozaka z jukami, w których nie mało było łupów, konie zatrzymali, a Polaka wystali do Cieszyna, gdzie razem z innymi został ścięty.

Byli też w Golasowicach, gdzie dwór do czysta okradli i splądrowali, a panów - Goszyckiego i skrzyszowskiego okrutnie zamordowali. (...)

Tyle o lisowczykach napisał Tilgner. Fakt, że nie wspominał nawet o Skoczowie zdaje się świadczyć o tym, że wybrali oni inną trasę przemarszu, omijając okolice Skoczowa.

Inny kronikarz, zwany ANONIMEM, zapisał pod rokiem 1620 tylko cztery wydarzenia:

- Ferdynand II został koronowany cesarzem i panował 17 lat, - król Fryderyk zwany „królem zimowym” przegrał bitwę pod Białą Górą, - w tym samym roku żołnierze polscy ciągnąc na pomoc cesarzowi napadli we wtorek zapustny na Śląsk i zamordowali pana Achazego z

Golasowic. Przeciwno Polakom wystąpił margrabia karniowski, - 28 grudnia zmarł młynarz w młynie zwanym „Piekiełko” koło Skoczowa. Chorował ledwie półtora dnia.

Anonimowy kronikarz zanotował więc wiadomość o napadzie na Śląsk lisowczyków. Pisze, że dopuszczali się zbrodni, jednak za najważniejsze, najbardziej sensacyjne wydarzenie w Skoczowie uważa śmierć młynarza, nie wspominając ani słowem o zniszczeniu miasta przez „żołnierzy polskich”.

Po 400 latach możemy więc w oparciu o wiarygodne materiały źródłowe stwierdzić, że ani Strumień, ani Skoczów nie zostały w 1620 r. zniszczone.